

665

- Czym jest dla Pani aktorstwo?
- Chciałby pan, żebym się tu przed czytelnikami Magazynu zwierzyła z moich myśli, przeżyć, jakich doznaję w tym zawodzie?
- Właśnie — coś w rodzaju takiego zwierzenia.

— Odpowiem lakonicznie: aktorstwo jest po prostu dla mnie z wodą. Nie marzyłam o nim od dziecka, nie myślałam, że zostanę aktorką. Stało się to za sprawą przypadku... A o tym przypadku, że zaczęłam w żołnierskim teatrze i Dwizji, wypowiadałam się już w wielu wywiadach, i sam pan rozumie...

Co tu ukrywać — na pewno się do tego zawodu przywiązałam, stał się on z czasem dla mnie sensem życia... Czym jest dziś dla mnie — czy sama praca, radość tworzenia? Otóż, upraszczając sprawę, jest i praca, i czasem radość tworzenia, kiedy wychodzi mi jakaś rola, równocześnie meka tworzenia — kiedy mi to nie wychodzi. Oczywiście, bywa i źródłem stresów, i niepokojów, i rozczarowań, a czasem radością... Tylko zwykłe tych radości bywa bardzo mało...

W porażkach, niepowodzeniach, zawodach pozostaje aktor samotny... Samotność, to może jeszcze pół biedy, ale...

Otóż zastanawiam się, co jest gorsze dla aktora: czy kleska w teatrze czy kleska, jaka ponosił on w filmie lub telewizji?... Jeśli bowiem w filmie nie uda się rola, czy to z winy aktora, czy z winy słabego scenariusza, czy w efekcie złej realizacji — to, oczywiście, świadectwo tej kleski utrwała się na taśmie filmowej, ale przynajmniej ja nie muszę w tej klesce ciałem uczestniczyć, nie muszę tego oglądać. Natomiast w teatrze, w sztuce, w której się źle czuję, czy sama uznaję, że nie udało mi się ta rola, czy tak uważa publiczność, kryptyka — muszę przeżywać prawdziwe meki codziennego uczestniczenia we własnej porażce... Zmuszam się do tego, mimo że w środku wszystko protestuje, a mimo to przeciełam gram, bo dyscyplina pracy, układ organizacyjny wymaga, żeby grać... Wprawdzie bywa i tak, że w trakcie grania człowiek jakos wędruje w te właściwe koleiny roli, ale często nie... Po prostu wszedł już na taką taką fałszywą ścieżkę, że nie potrafi z niej zejść... I mając poczucie tego, że robi to niedobrze — gra. Nie ma gorszej meki!...

— Mówi się o sawadzie aktorskim, że wymaza ciągłego sprawdzania, potwierdzania się?

— Oczywiście, tak chyba jest z każdym zawodem twórczym. W moim zawodzie, wszyscy oczywiście pamiętają jakąś dużą kreację, każdy sukces, ale i też każda następna nieudana rola jest w stanie przekreślić wręcz dotychczasowy, często wieloletni, bogaty dorobek... I to jest m. in. źródłem owych stresów i niepokojów, jakie przeżywała ludzie teatru i filmu.

W przyjętej nomenklaturze aktorzy są odtwórcami. Między twórcami (pisarze, malarze, kompozytorzy itp.) a odtwórcami istnieje choćby tego rodzaju różnica, że twórcy wtedy sięgają po piórko czy pędzel, kiedy odczuwają potrzebę i mają coś do powiedzenia światu. Natomiast my jesteśmy w jakimś sensie narzędziem, przekazujemy czyjeś myśli, przeżycia, stany emocjonalne... A poza tym ta zależność... Bo my dostajemy role w takim, a nie innym czasie, kiedy być może nie mamy na nie ochoty. Takie a nie inne niezależne od naszych tęsknot, osobistych zapotrzebo-

wań... Niektóre nie zawsze się pokrywają z pragnieniami. Jesteśmy zdani na mówienie językiem autora, który czasem bywa znakomity a niekiedy i słaby... Tak samo jest dla nas przypadkiem satunek w którym się znaleźliśmy. Po prostu — nie jesteśmy panami swoich tęsknot i życzeń nie panujemy nad wyborem.

— W tym miejscu, nie sądzę Pani, można by rozszyfrować dość tajemnicze dla czytelnika określenie: „zaszufladkowanie”? Aktor bardzo się przed tym broni, zapytam naiwnie: dlaczego się broni?

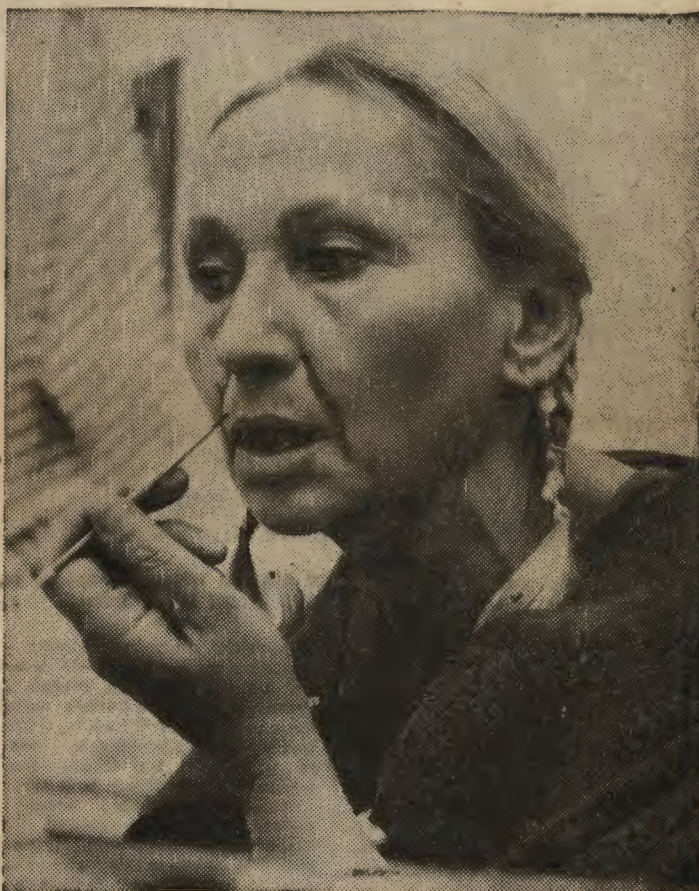
— Pozwolę sobie na wstępie na taki maleńki wywód... Otóż już kiedyś znakomity Jouvet podzielił aktorów na: les acteurs i na les commediens. Les acteurs — to są ci, którzy dysponują swoją twarzą, nigdy jej nie zmieniają, a wszystkie reakcje autorów przekazują od siebie. Natomiast les commediens — to są ci aktorzy, którzy się posługują różnymi maskami, różnymi portretami, starając się oddać niejako zewnętrznie, w naturalistyczny sposób człowieka, którego kreują. Myślę, że wartość jednych i drugich jest taka sama, po prostu każdy z nich reprezentuje inny styl, inny genre. Weźmy choćby Holoubka i Swiderskiego. Ten ostatni lubi operować maską, charakterystyczną — co nie znaczy, oczywiście, że nie daje psychologicznej głębi granej postaci. Holoubek raczej nie ucieka się do tego typu form zewnętrznych, nie chowa się za maskę charakterystyki zewnętrznej. Obydwaj są znakomitymi aktorami, każdy jednak na swój sposób.

Wracając do pojęcia „zaszufladkowanie”... Otóż my się bronimy przed tym zaszufladkowaniem z zewnątrz, które jest dość prymitywne, bo podziału tego dokonują ludzie nie znający osobowości aktora, jego twórczych możliwości, z góry — bez znajomości rzeczy — skazując go na granie takich a nie innych ról. To

wszystko jednak nie oznacza, że nie istnieje jakiś wewnętrzny, organiczny podział, rodzaj zaszufladkowania. Istnieje przecież jakiś taki podział, choćby z tego prostego względu, że nie da się przekroczyć własnej osobowości.

Niemniej jednak, w jednej osobowości aktora mieści się także bogactwo różnych możliwości...

— Bywa jednak, że aktor o ogromnej skali twórczej, odtwórca wielu różnorodnych ról, grywanych w teatrze, bywa zaszufladkowany w jakimś gatunku z powodu telewizji, bo ten



Ryszarda Hanin w czasie charakteryzacji w garderobie teatralnej. Foto: CAF

PRACA I TWORZENIE

masowy, wielomilionowy widz, oglądaj swego ulubionego aktora tylko w określonym gatunku, i tylko w takim go akceptuje?

— Ma pan rację. Jeżeli np. o mnie chodzi, to ten znak wywoławczy „matka” spowodowany jest graniem przeze mnie w telewizji ról matek. Tak się jakoś złożyło, że kilka takich ról zagrałam i to w niewielkich odstępach czasu. Z tym, że moim zdaniem, nie było chyba z mojej strony jakiegos powielania jednej postaci... Jestem bardzo na to wyczulona, uważam, żeby tego, co robię, nie powielać.

— Nie obejdzie się bez stereotypowego pytania: które z granych dotąd przez Panią ról przeżyła Pani z jakich powodów najłatwiej? Jakże to były role?

— Jakby to panu powiedzieć... Na, na pewno, tak sięgając myślą wstecz, jedno się jakoś zamazuje w pamięci, inne pozostają jako coś trwałego, znaczącego... Na pewno zawsze zostają te pierwsze, po prostu dlatego, że były pierwsze, a nie dlatego, żeby akurat były najlepsze, ale które niejako pasowały człowiekowi na aktora.

A więc była to Anieli w „Ślubach

panieńskich”, była to Panna Młoda w „Weselu”, Nastka w „Na dzień” Gorkiego, Melbea w „Celestynie...” Co jeszcze? ...Bardzo lubiłam rolę Soni w „Wujaszku Wani” Czechowa..

A w ogóle muszę przyznać, że miałam raczej dość bogaty wachlarz postaci...

Wcześniej stosunkowo przesłama rolę charakterystyczne, grywałam stare kobiety, niekiedy i „babcie. Również przeciwko temu się nie buntowałam, choćby dlatego, że po prostu mnie to bawiło, a potem już się w tym rozsmakowałam. Było to dla mnie coś w rodzaju przygotowania, szkoły, do ról, które potem grałam. To było, wie pan, jak się okazało, ogromnym dla mnie, dla mojego aktorstwa, dobrodziejstwem, bo nie odczuwałam tego przeskoku, czury wieku, która to rzecz dla aktorek permanentnie obsadzanych w rolach amantek bywa czasami wstrząsem.

Swoją drogą, zabawna rzecz z tymi rolami charakterystycznymi... Mając trzydzieści kilka lat, zagrałam ponad 80-letnią staruszkę i to nie w teatrze, przy charakteryzacji, co jest rzeczą łatwiejszą, ale w spektaklu telewizyjnym. Była to węgierska komedia, kapitalnie lekko napisana pt. „Oni wiedza co to jest miłość”. Treść tego spektaklu nie opowiem, w każdym razie jako że była to komedia, że wszystko tam było a przymrużeniem oka, bardzo umowne, lekkie, dowcipne, więc i dla mnie udawanie staruszki było znakomitym ćwiczeniem.

— W czym Pani aktualnie gra na scenie „Teatru Dramatycznego”?

— Gram w „Ślubie” Gombrowicza, „Na czworakach” Różewicza w „Czarnej komedii” a ostatnio także na małej scenie w takiej dwuosobowej sztuce pt. „Jednooki jest królem”. Z tymi dwiema pierwszymi sztukami byłam niedawno z zespołem „Dramatycznego” w Hamburgu. Nie byliśmy tak absolutnie pewni słuszności wyboru pozycji, obawialiśmy się, że nie przekroczymy bariery językowej, o bie sztuki są przecież dość trudne w odbiorze, a tymczasem spotkało nas wręcz entuzjastyczne, gorące przyjęcie... Ale to dłuższa historia...

Z rzeczy pozateatralnych — mam zagrać słowna rolę we wschodczym, poetyckim filmie. Jest to debiut reżyserski w filmie fabularnym Czekal-ki.

W październiku zaczęła się szkoła, zajęcia ze studentami w PWST... Tak, po prostu człowiek jest zapracowany, zajęty... No cóż, ludziom się wydaje, że aktorzy prowadzą takie błyskotliwe, barwne życie... Tymczasem aktor wychodzi rano na próbę, próbuje do drugiej, wyskakuje na obiad w stołówce, potem idzie na wykład do szkoły, albo próby do telewizji, czy do radia... Wieczorem wraca do teatru; znów przebieganie się, mazanie się szminka, charakteryzacja, późny powrót do domu... Tylko w nocy może coś przeczytać, popracować nad sobą, jeżeli — oczywiście — nie wyjedzie zaraz po spektaklu do filmu, by po nocnej podróży w pociągu, stanąć rano na planie... Nie mówię tu już o ciężkiej pracy aktora w terenie, wśród ciągłych rozjazdów...

A przecież ten zawód — jak powiedziałam stał się sensem mojego życia. Również tego bardzo zabieganego, wypełnionego stresem i niepokojami, zwycięstwami i porażkami, a mimo to bogatego w przeżycia i satysfakcje.

Rozmawiał:

BARTOSZ GŁOWACKI